Ania z Zielonego Wzgórza

Lucy Maud Montgomery

aktywne czytanie
aktywneczytanie.pl

WILGA

Mateusz sam był zdziwiony tym, jak przyjemnie upływa mu czas. Jak większość małomównych osób lubił ludzi gadatliwych, którzy brali na siebie cały ciężar prowadzenia rozmowy, nie oczekując od niego zaangażowania. Nie spodziewał się jednak, że tak dobrze będzie się czuł w towarzystwie dziewczynki. Uważał, że już kobiety są wystarczająco uciążliwe, ale dziewczynki były w jego mniemaniu jeszcze gorsze. Nie znosił tego, w jaki sposób przemykały obok niego, rzucając mu ukradkowe spojrzenia, jak gdyby spodziewały się, że pożre je jednym kłapnięciem, jeśli tylko odważą się do niego odezwać. Tak właśnie zachowywały się dobrze wychowane dziewczynki z Avonlea. Jednak ta mała piegowata istotka całkowicie się od nich różniła i choć myśli Mateusza biegły wolniej i niełatwo było mu nadążyć za jej

ożywionym tokiem rozumowania, pomyślał, że właściwie podoba mu się ta jej paplanina. Powiedział więc, jak to on, nieśmiało:

– Możesz mówić, ile ci się podoba. Nie przeszkadza mi to.

– Tak się cieszę! Wiem, że pan i ja będziemy się dobrze rozumieli. To wielka ulga móc mówić wtedy, kiedy ma się na to ochotę, i nie słyszeć w odpowiedzi, że dzieci nie powinny bezustannie mleć językiem. Mówiono mi to chyba z milion razy. Ludzie śmieją się ze mnie, bo używam poetyckich słów. Ale kiedy ma się wzniosłe myśli, trzeba używać takich słów, bo jak inaczej o nich opowiadać?

– To dość rozsądne – zgodził się Mateusz.

– Pani Spencer powiedziała, że język chyba odczepił mi się od podniebienia, ale to nieprawda. Z jednej strony jest przyczepiony. Mówiła też, że wasza posiadłość nazywa się Zielone Wzgórze. Wypytywałam ją o nie. Powiedziała, że dom jest otoczony drzewami. Nie ma pan pojęcia, jak się ucieszyłam. Kocham drzewa. Wokół sierocińca prawie ich nie było, jeśli nie liczyć kilku biednych, wynędzniałych drzew rosnących przed budynkiem, otoczonych sztachetkami pobielonymi wapnem. Same wyglądają jak sieroty. Na ich widok zawsze zbierało mi się na płacz. Mówiłam do nich: „Kochane biedactwa! Gdybyście rosły w potężnym lesie, otoczone innymi drzewami, na ziemi wyłożonej mięciutkim mchem, i gdyby wasze korzenie były porośnięte kolorowymi dzwonkami, a nieopodal szemrał strumyk, i gdyby w waszych gałęziach śpiewały ptaki, z pewnością byście urosły, prawda? Wiem, jak się czujecie, drzewka". Żal mi ich było, kiedy dziś rano je opuszczałam. Człowiek przywiązuje się nawet do roślin,

prawda? Czy niedaleko Zielonego Wzgórza przepływa strumyk? Zapomniałam zapytać o to panią Spencer.

– Cóż... no tak, płynie tuż pod domem.

– Jak wspaniale! Zawsze marzyłam o tym, by mieszkać nad strumykiem. Nigdy jednak nie sądziłam, że to pragnienie się spełni. Bo wiele z nich często już na zawsze pozostaje w sferze marzeń, prawda? Czy nie byłoby miło, gdyby wszystkie się urzeczywistniały? Teraz jednak czuję się niemal w pełni szczęśliwa. W pełni szczęśliwa nie poczuję się nigdy, bo... proszę powiedzieć, jak nazwałby pan ten kolor?

Przełożyła jeden z długich, lśniących warkoczy przez chude ramię i podsunęła go Mateuszowi pod oczy. Choć mężczyzna nie miał doświadczenia w określaniu barwy kobiecych pukli, tym razem nie miał wątpliwości.

– Chyba... rudy? – zasugerował.

Dziewczynka odrzuciła warkocz z powrotem na plecy. Wyrwało jej się przy tym westchnienie, które zdawało się pochodzić z najgłębszej głębi jej ciała, i można by pomyśleć, że wraz z nim chciała wyrzucić z siebie wszystkie smutki i zmartwienia, które kiedykolwiek ją spotkały.

Lucy Maud Montgomery, Ania z Zielonego Wzgórza,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 25-27

Maryla niespiesznie pozbierała ubrania Ani, po czym ułożyła je starannie na żółtym krześle. Podniosła świecę i podeszła do łóżka.

– Dobranoc – powiedziała z zakłopotaniem, ale życzliwie.

Spod kołdry wyłoniła się blada twarzyczka Ani, tak niespodziewanie, że Maryla niemal się zlękła.

– Czy naprawdę może pani życzyć mi dobrej nocy, wiedząc, że będzie to zapewne najgorsza noc mojego życia? – powiedziała z wyrzutem.

Po tych słowach znów zanurkowała pod kołdrę. Maryla powoli zeszła do kuchni i zabrała się do zmywania naczyń po kolacji. Mateusz kurzył fajkę, co oznaczało, że jest wzburzony. Rzadko palił, jako że siostra nie pochwalała tego okropnego nawyku, ale zdarzały się chwile, kiedy czuł taką potrzebę, a wtedy Maryla przymykała na to oko, świadoma, że mężczyźnie jest potrzebne jakieś ujście dla emocji.

– Ładna para kaloszy – mruknęła gniewnie. – Tak się kończy przekazywanie wiadomości przez posłańców, zamiast osobistego załatwienia sprawy. Krewni Richarda Spencera pewnie wszystko przekręcili. Jedno jest pewne, któreś z nas będzie musiało jutro pojechać do pani Spencer. Tę dziewczynkę trzeba odesłać do sierocińca.

– Przypuszczam, że masz rację – powiedział Mateusz z ociąganiem.

– Przypuszczasz? Nie jesteś pewien?

– Cóż, Marylo... to bardzo miłe stworzenie. Szkoda byłoby ją odsyłać, skoro tak bardzo marzy o tym, by tu zostać.

– Mateuszu Cuthbert, nie chcesz chyba powiedzieć, że powinniśmy ją zatrzymać?!

Maryla nie byłaby zapewne bardziej wstrząśnięta, gdyby Mateusz oświadczył nagle, że od dziś zamierza regularnie stawać na głowie.

– No cóż... Jak by to powiedzieć... Chyba nie... Nie do końca – wydukał Mateusz nieporadnie. Czuł, że siostra przyparła go do muru i oczekuje precyzyjnej odpowiedzi. – Sądzę, że... pewnie nie należy od nas oczekiwać, że ją zatrzymamy.

– To wykluczone. Jaki mielibyśmy z niej pożytek?

– A może to ona miałaby pożytek z nas? – wyrwało mu się niespodziewanie.

– Mateuszu Cuthbert, to dziecko chyba cię zaczarowało! Widzę wyraźnie, że chcesz je zatrzymać.

– To naprawdę ciekawa istota – nalegał Mateusz. – Powinnaś słyszeć, co opowiadała w drodze ze stacji.

– O tak, paplać to ona potrafi. Od razu to zauważyłam. I bynajmniej nie jest to zaleta. Nie lubię dzieci, które mają zbyt wiele do powiedzenia. Nie chcę tu dziewczynki z sierocińca, a nawet gdybym chciała, nie wybrałabym dziecka jej pokroju. Jest w niej coś, czego zupełnie nie pojmuję. Nie ma mowy! Jutro będzie musiała wrócić tam, skąd przyjechała.

– Mógłbym zatrudnić jakiegoś francuskiego chłopaka do pomocy – zasugerował Mateusz. – A ona dotrzymywałaby ci towarzystwa.

– Nie narzekam na brak towarzystwa – odparła Maryla szorstko. – I nie zamierzam jej zatrzymać.

– Zrobisz, jak uważasz, Marylo – powiedział Mateusz, odkładając fajkę. – Pójdę się położyć.

Mateusz ruszył do swojej sypialni. Kiedy Maryla pochowała naczynia do kredensu, także udała się na spoczynek, a na jej ściągniętej twarzy malowała się troska. W tej samej chwili na poddaszu we wschodniej części domu łkała w poduszkę samotna, spragniona miłości, opuszczona dziewczynka, aż łzy utuliły ją do snu.

Lucy Maud Montgomery, Ania z Zielonego Wzgórza,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 43-45

Ania jeszcze głębiej zagrzebała się w poduszki, jakby pragnęła na zawsze ukryć się przed wzrokiem śmiertelników.

– Nie. Ale, błagam, Marylo, odejdź i nie patrz na mnie. Jestem w otchłani rozpaczy i nie dbam o to, kto prześcignie mnie w nauce albo napisze najlepsze opowiadanie, albo kto będzie śpiewał w chórze szkółki niedzielnej. Takie drobne rzeczy nie mają dla mnie znaczenia, bo już nigdy nie wyjdę z domu. Moja przyszłość runęła w gruzach. Proszę, Marylo, odejdź i nie patrz na mnie.

– Czy ktokolwiek słyszał kiedy coś podobnego? – mruknęła zdumiona Maryla. – Aniu Shirley, co się z tobą dzieje? Coś ty zrobiła? Podnieś się i mów, co się stało. Natychmiast, rozumiesz? O co chodzi?

Zrozpaczona Ania posłusznie zsunęła się na podłogę.

– Popatrz na moje włosy, Marylo – wyszeptała.

Maryla uniosła świecę i przyjrzała się włosom Ani, które długimi pasmami spływały jej na plecy. Wyglądały bardzo dziwnie.

– Aniu Shirley, coś ty zrobiła z włosami? Przecież one są zielone!

I rzeczywiście, gdyby uznać, że włosy Ani w ogóle miały jakąś jednolitą barwę, można by je nazwać zielonymi –

miały teraz bowiem dziwaczny, matowy, brunatnozielony odcień, przetykany naturalną rudością, która tylko potęgowała upiorne wrażenie. Maryla w całym swoim życiu nie widziała nic równie groteskowego jak włosy Ani.

– Tak, są zielone – jęknęła Ania. – Nie sądziłam, że istnieje coś gorszego od rudych włosów. Teraz jednak wiem, że dziesięć razy gorzej jest mieć zielone. Och, Marylo, nawet nie wiesz, jaka jestem nieszczęśliwa.

– Nie mam pojęcia, jak wpakowałaś się w ten ambaras, ale z całego serca chciałabym się tego dowiedzieć – oznajmiła Maryla. – Zejdź do kuchni, bo tu jest za zimno, i opowiedz, jak do tego doszło. Już od jakiegoś czasu spodziewałam się kłopotów. Od ponad dwóch miesięcy nie narobiłaś żadnych głupstw i byłam pewna, że coś się święci. No, mów. Co zrobiłaś z włosami?

– Ufarbowałam je.

– Ufarbowałaś?! Ufarbowałaś włosy?! Aniu Shirley, czyś ty nie wiedziała, że takich rzeczy nie wolno robić?

– Wiedziałam, że to nieodpowiednie – wyznała Ania. – Ale pomyślałam, że warto się zachować nieodpowiednio, aby pozbyć się czerwonych włosów. Rozważyłam wszystkie za i przeciw, Marylo. Poza tym postanowiłam, że pod innymi względami będę się zachowywać wzorowo.

– Cóż – mruknęła Maryla sarkastycznie. – Gdybym to ja uznała, że warto ufarbować włosy, ufarbowałabym je przynajmniej na jakiś przyzwoity kolor. Na pewno nie wybrałabym zielonego.

Lucy Maud Montgomery, Ania z Zielonego Wzgórza,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 286-287

Wysoka, smukła dziewczyna w wieku lat szesnastu i pół, o szarych oczach, poważnym spojrzeniu i włosach, które jej przyjaciele określali mianem kasztanowatych, siedziała na szerokim kamiennym schodku przed domem na Wyspie Księcia Edwarda. Powzięła bowiem solenne postanowienie, że tego dnia przetłumaczy kilkanaście wersów Wergiliusza.

Tego sierpniowego popołudnia zżęte pola otulał błękitny woal mgły, psotny wiatr szeptał coś w koronach topoli, a rozkołysane w tańcu maki płonęły czerwienią na tle ciemnego jodłowego zagajnika, który wtulał się w kąt czereśniowego sadu, i doprawdy o wiele łatwiej było oddawać się marzeniom, niż studiować martwy język. Wkrótce tom Wergiliusza niepostrzeżenie osunął się na ziemię, podczas gdy Ania wsparła brodę na splecionych dłoniach i utkwiła spojrzenie w puszystych obłoczkach, które piętrzyły się nad domem pana J.A. Harrisona jak potężna ośnieżona góra. Jej wyobraźnia błądziła w świecie marzeń, w którym pewna nauczycielka z pasją oddawała się pracy, zaważała na losach przyszłych mężów stanu oraz dodawała zapału młodym umysłom i sercom, zachęcając uczniów, by stawiali sobie ambitne i wzniosłe cele.

Gdyby stanąć twarzą w twarz z bezlitosną prawdą, co – trzeba przyznać – Ania czyniła nader niechętnie, wydawało się mało prawdopodobne, by którykolwiek z uczniów szkoły w Avonlea miał się w przyszłości wsławić wielkimi dokonaniami. Nie wiadomo jednak, co może się wydarzyć, jeśli pedagog umiejętnie pokieruje podopiecznymi. Głowa Ani była wypełniona ideałami i pomysłami na to, co może osiągnąć nauczycielka, która odpowiednio zabierze się do sprawy. W wyobraźni wybiegła właśnie w przyszłość o czterdzieści lat i uczestniczyła we wspaniałym wydarzeniu z udziałem pewnej sławnej osobistości. Z czego ta miałaby zasłynąć, pozostało owiane dogodną mgiełką niedomówienia, Ania jednak uznała, że wspomniana postać powinna być co najmniej rektorem wyższej uczelni lub premierem Kanady. Ów dygnitarz pochylał się teraz nad pomarszczoną dłonią Ani, zapewniając, że to właśnie ona wzbudziła w nim ambicje i że życiowy sukces zawdzięcza lekcjom, które dawno temu odebrał w murach małej szkoły w Avonlea. Tę przyjemną wizję zburzyło jednak stanowczo nieprzyjemne wydarzenie.

Drogą nadbiegła niewielka krowa rasy jersey, a zaraz za nią pojawił się pan Harrison... chociaż określenie „pojawił się" jest być może nieco zbyt łagodnym opisem sposobu, w jaki gospodarz wtargnął na podwórko Zielonego Wzgórza.

Lucy Maud Montgomery, Ania z Avonlea,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 7-8

Opierali się o balustradę mostku zawieszonego nad starym stawem, chłonąc magię zmierzchu. W tym samym miejscu przed laty Ania wyskoczyła z tonącej łódki i wdrapała się na pal, kiedy jako Elaine płynęła do Camelot. Zachodnie niebo wciąż jeszcze było zabarwione delikatną purpurą, kiedy ukazał się księżyc, a w jego świetle woda migotała niczym głęboki, srebrzysty sen. Wspomnienia oplotły dwoje młodych słodkimi zaklęciami.

– Jesteś dziś bardzo milcząca, Aniu – odezwał się w końcu Gilbert.

– Boję się odezwać i poruszyć z obawy, że to całe nieskończone piękno zniknie jak spłoszona cisza – westchnęła Ania.

Gilbert bez ostrzeżenia nakrył dłonią jej smukłe białe palce spoczywające na balustradzie. Jego orzechowe oczy pociemniały, a chłopięce wargi rozchyliły się, by powiedzieć coś o marzeniach i nadziei, które wypełniały jego duszę. Ale Ania wyrwała rękę i odwróciła się gwałtownie. Czar zmierzchu prysł.

– Muszę wracać do domu – oznajmiła z udawaną beztroską. – Dziś po południu Marylę bolała głowa, a bliźnięta na pewno zdążyły już coś przeskrobać. Nie powinnam była tak zwlekać z powrotem.

Trajkotała nieprzerwanie bez ładu i składu, aż znaleźli się na ścieżce prowadzącej na Zielone Wzgórze. Biedny Gilbert właściwie nie miał szansy wtrącić choćby słowa. Kiedy się pożegnali, Ania poczuła ulgę. Od tamtej ulotnej chwili

w ogrodzie Chatki Ech, kiedy doznała dziwnego objawienia, w towarzystwie Gilberta czuła się nieswojo. Do ich dawnej wzorowej szkolnej przyjaźni wkradło się coś obcego... coś, co mogło tę przyjaźń zniszczyć.

„Nigdy dotąd nie cieszyłam się tak bardzo z tego, że Gilbert odszedł – pomyślała, po części z żalem, po części ze smutkiem, kiedy ruszyła ścieżką w stronę domu. – Jeśli dalej będzie się tak wygłupiał, nasza przyjaźń legnie w gruzach. Nie możemy jej zepsuć... nie pozwolę na to. Och, czemu chłopcy nie mają więcej rozsądku!"

Towarzyszyło jej niejasne wrażenie, że sama zachowuje się „nierozsądnie", wspominając ciepło dotyku Gilberta na skórze, równie intensywne jak przez tych kilka sekund, kiedy jego dłoń spoczywała na jej dłoni. A jeszcze mniej rozsądne było to, że jego dotyk nie wydawał jej się nieprzyjemny, w przeciwieństwie do dotyku Charliego Sloane'a, który trzy dni wcześniej zachował się podobnie podczas przyjęcia w White Sands, w przerwie między tańcami. Na samą myśl o tym przykrym zdarzeniu Ania się wzdrygnęła. Jednak wszelkie troski związane z zadurzonymi młodzieńcami rozwiały się, kiedy znalazła się w kuchni na Zielonym Wzgórzu. Panowała tam domowa, pozbawiona wszelkich sentymentów atmosfera, a siedzący na sofie ośmioletni chłopiec zanosił się gorzkim płaczem.

– Co się stało, Davy? – zapytała Ania, biorąc go w ramiona. – Gdzie Maryla i Dora?

– Maryla kładzie Dorę spać – załkał Davy. – A ja płaczę, bo Dora spadła ze schodów do piwnicy. Przekoziołkowała i obdarła sobie nos, i...

– Och, nie płacz, skarbie. To zrozumiałe, że współczujesz siostrze, ale twój płacz w niczym jej nie pomoże. Jutro poczuje się lepiej. Wylewanie łez nigdy nikomu nie pomaga, kochany Davy, i…

– Ja przecież nie płaczę dlatego, że Dora spadła ze schodów – oznajmił Davy z jeszcze większą rozpaczą, przerywając Ani przemowę, którą pragnęła go pocieszyć. – Płaczę, bo to przegapiłem. Zawsze omija mnie to, co najweselsze.

Lucy Maud Montgomery, Ania na uniwersytecie,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 11-13

Ania pragnęła wrócić do domu, by zanurzyć się w lekturze drogocennych listów, wcześniej jednak odbyła jeszcze jedną wędrówkę. Wybrała się samotnie w zielony zakątek starego cmentarza w Bolingbroke, gdzie pochowano jej rodziców, i zostawiła na ich grobie bukiet białych kwiatów. Potem pospiesznie wróciła do Mount Holly, zamknęła się w pokoju i zasiadła do listów. Niektóre z nich były autorstwa jej ojca, inne – matki. Nie było ich zbyt wiele, bo Walter i Bertha Shirley rzadko się rozstawali. Ząb czasu nadszarpnął listy zakochanych – papier pożółkł, a pismo wyblakło i stało się niewyraźne. Na poplamionych i pogniecionych kartkach próżno było szukać głębokich słów mądrości, ale tętniły one miłością i zaufaniem. Wchłonęły słodycz tego, co zapomniane – słodkie marzenia dawno zmarłych kochanków. Bertha Shirley posiadała dar pisania listów, w których wyczuwało się talent pisarski, a jej słowa i refleksje – mimo upływu czasu – zachowały piękno i urok. Listy były czułe, poufałe, uświęcone. Ani najśliczniejszy wydał się ten, który Bertha napisała do męża tuż po narodzinach dziecka, kiedy przez krótki czas przebywał poza domem. Dumna młoda matka zapełniła go opisami „dzieciątka" – które według niej było niezwykle bystre, mądre i nieskończenie słodkie.

„Kocham ją najbardziej, kiedy śpi, a jeszcze bardziej, kiedy się budzi", napisała Bertha w postscriptum. Było to prawdopodobnie ostatnie zdanie, jakie kiedykolwiek nakreśliła. Śmierć wyciągała już po nią dłoń.

– To był najpiękniejszy dzień mojego życia – powiedziała tego wieczoru Ania do Philippy. – Dziś odnalazłam

rodziców. Te listy sprawiły, że stali się dla mnie ludźmi z krwi i kości. Nie jestem już sierotą. Czuję się tak, jakbym otworzyła książkę, a między jej kartami znalazła wczorajsze róże, słodkie i ukochane.

Lucy Maud Montgomery, Ania na uniwersytecie,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 202-203

Rebecca Dew liczy sobie około czterdziestu lat i do złudzenia przypomina pomidor – zakładając, że pomidor może mieć gładko zaczesane czarne włosy, małe błyszczące oczka, niewielki perkaty nos i wąskie usta. Cała jej postać wydaje się jakby przykrótka... przykrótkie są jej ramiona, nogi, szyja i nos... wszystko poza uśmiechem. On bowiem rozciąga się od ucha do ucha. Wtedy jednak nie było nam dane go zobaczyć. Kiedy poprosiłyśmy o spotkanie z panią MacComber, przybrała surową minę.

– Mają panie na myśli panią kapitanową MacComber? – powiedziała z przyganą, jakby w tym domu mieszkał przynajmniej tuzin kobiet o tym nazwisku.

– Tak – odparłam potulnie, po czym zostałyśmy wprowadzone do bawialni i tam porzucone.

Jest to dość ładny pokoik i choć stojące w nim meble przykryto całym mnóstwem różnego rodzaju pokrowców, panuje w nim cicha, przyjazna atmosfera, która bardzo mi odpowiada. Każdy sprzęt ma tu swoje miejsce i zapewne nie zmieniał go od lat. Tamtego dnia wszystko błyszczało jak lustro! Takiego rezultatu nie da się osiągnąć ot tak – wiedziałam, że Rebecca Dew niemało się przy tym napucowała. Na gzymsie kominka stała trzymasztowa fregata, która wzbudziła wielkie zainteresowanie pani Linde. Ta zacna kobieta nie umiała zrozumieć, jakim cudem udało się wcisnąć statek do butelki... uznała jednak, że ta ozdoba nadaje pomieszczeniu „marynistycznego sznytu".

Wkrótce do pokoju weszły wdowy. Z miejsca zapałałam do nich sympatią. Cioteczka Kate jest wysoka, szczupła i siwa,

odrobinę surowa, przez co do złudzenia przypomina Marylę, za to cioteczka Chatty jest niska, szczupła i siwa, a przy tym odrobinę melancholijna. Kiedyś była zapewne bardzo ładna, ale o dawnej urodzie dziś świadczą tylko jej oczy. Bo oczy ma wprost prześliczne – duże, łagodne i brązowe.

Kiedy wyjaśniłam powód wizyty, wdowy wymieniły spojrzenia.

– Musimy zasięgnąć opinii Rebekki Dew – oznajmiła cioteczka Chatty.

– Bez wątpienia – zgodziła się cioteczka Kate.

Kobiety przywołały Rebeccę Dew z kuchni, a w ślad za nią przydreptał kot... pokaźny, puszysty kot maltański o niebieskiej sierści, białej łatce na piersi i równie białej na karku. Już miałam go pogłaskać, kiedy przypomniałam sobie ostrzeżenie pani Braddock i postanowiłam zlekceważyć jego obecność.

Rebecca przyglądała mi się bez cienia uśmiechu.

– Rebecco – zaczęła cioteczka Kate, która, jak zdążyłam się przekonać, nie należy do osób gadatliwych – panna Shirley chciałaby u nas zamieszkać. Nie sądzę jednak, byśmy mogły ją przyjąć.

– A to dlaczego? – chciała wiedzieć Rebecca Dew.

– Obawiam się, że byłby to dla ciebie zbyt wielki kłopot – wyjaśniła cioteczka Chatty.

– Przywykłam do kłopotów – odparła Rebecca Dew.

Musisz wiedzieć, Gilbercie, że nie da się oddzielić jej imienia od nazwiska. Moim zdaniem to po prostu niemożliwe... choć wdowy jakoś sobie z tym radzą. Zwracając się do niej, nazywają ją po prostu Rebeccą. Nie wiem, jakim cudem im się to udaje.

Lucy Maud Montgomery, Ania z Szumiących Topoli,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2021, str. 16-17

Doktor David Blythe przysłał na stację powóz zaprzężony w konia, a urwis, który ów powóz dostarczył, uśmiechnął się wesoło i zniknął, pozwalając młodemu małżeństwu cieszyć się samotną podróżą do nowego domu w jasnym świetle wieczoru.

Kiedy przejechali przez wioskę i wtoczyli się na szczyt pagórka, ich oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok, który na zawsze zapisał się w pamięci Ani. Choć nie widziała jeszcze swojego nowego domu, podziwiała Przystań Czterech Wiatrów, która rozciągała się przed nimi niczym wielkie, połyskujące zwierciadło rozmigotane srebrzystym i różowym blaskiem. W oddali, między pasem piaszczystych wydm a stromym, złowrogim klifem z czerwonego piaskowca, znajdowało się wejście do przystani, a tuż za nim falowało pogrążone we śnie spokojne, srogie morze. Mała wioska rybacka, przycupnięta w zatoczce w miejscu, gdzie wydmy łączyły się z wybrzeżem, połyskiwała w wieczornej mgiełce niczym wielki opal. W górze zaś błyszczał bogato zdobiony puchar nieba, z którego wylewał się zmierzch. Powietrze było rześkie i przesiąknięte słonym zapachem morza, a okoliczny krajobraz nasycony subtelnością nadmorskiego wieczoru. Wzdłuż ciemniejącego, porośniętego jodłami wybrzeża można było

dojrzeć niewyraźne sylwetki żaglówek. Z wieży małego białego kościółka usytuowanego po przeciwległej stronie portu dochodziło bicie dzwonu. Jego łagodna i pełna słodyczy melodia płynęła nad wodami zatoki, łącząc się z pojękiwaniem morza. W oddali raz po raz rozbłyskiwały snopy ciepłego złotego światła wzniesionej na klifie latarni, rozjaśniając północne niebo niczym drżąca gwiazda dobrej nadziei. Wzdłuż horyzontu snuła się przymarszczona szara wstęga dymu, która wydobywała się z komina przepływającego nieopodal parowca.

– Och, jak tu ślicznie... Jak ślicznie... – wyszeptała Ania. – Już wiem, że pokocham Cztery Wiatry, Gilbercie. A gdzie nasz dom?

– Stąd go jeszcze go nie widać... Zasłania go pas brzóz porastających tamtą kotlinkę. Leży w odległości około dwóch mil od Glen St. Mary, a od latarni morskiej dzieli go jeszcze jedna mila. Nie będziemy tam mieli zbyt wielu sąsiadów, moja droga Aniu. Obok nas stoi jeszcze tylko jeden dom i nie mam pojęcia, kto go zamieszkuje. Czy nie będziesz się czuła samotna, ilekroć będę musiał pojechać z wizytą do moich pacjentów?

– Skądże znowu! Towarzystwa dotrzymają mi światło latarni morskiej i całe to piękno. A czy wiesz, kto mieszka w tamtym domu, Gilbercie?

– Niestety, nie. Intuicja podpowiada mi jednak, że jego mieszkańcy nie okażą się naszymi pokrewnymi duszami.

Lucy Maud Montgomery, Wymarzony dom Ani,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2022, str. 40-41

Ania i Gilbert zastali kapitana Jima na ławce przed latarnią, gdzie szlifował imponujących rozmiarów zabawkową fregatę. Mężczyzna wstał i powitał ich w swoich skromnych progach z łagodną, bezwiedną uprzejmością, z którą tak mu było do twarzy.

– Udał nam się ten dzionek, pani Blythe, ale dopiero teraz, na sam koniec, pokazał wszystkie swoje wdzięki. Może posiedzim troszeczkę na zewnątrz, póki widno? Właśnie skończyłem strugać tę zabaweczkę dla małego Joego. To wnuk mojego brata. Mieszka w Glen. Obiecałem mu ten stateczek, choć potem żem żałował, bo jego matka okropnie się piekliła. Boi się, że jak chłopaczek podrośnie, smyrgnie na morze. Nie chce, coby mu podsuwać tego rodzaju pomysły. Ale czy mogłem co na to poradzić, pani Blythe? Przecie mu obiecałem, a jeno łajdak łamie obietnicę daną dziecku. Siadajcie państwo, siadajcie. Godzinka minie nam jak z bicza strzelił.

Wiatr wiał znad wybrzeża, przystrajając gładką taflę morza jedynie długimi, srebrzystymi falkami, a znad okolicznych cypelków, niczym przezroczyste skrzydła, wzlatywały migotliwe cienie. Kotara purpurowego zmierzchu opadła na wydmy i cyple, wśród których tuliły się do siebie mewy, po niebie snuł się zaś delikatny woal jedwabistej mgły. Floty obłoków zacumowały wzdłuż widnokręgu, a gwiazda wieczorna czuwała nad mierzeją.

– Nielichy widoczek, nieprawdaż? – powiedział kapitan Jim z gospodarską dumą. – Można tu zapomnieć o tym

całym zgiełku świata. Tego wszystkiego nie da się kupić, sprzedać ani się na tym dorobić. Morze i niebo oglądamy „bez pieniędzy i bez płacenia”[15]. Niezadługo wzejdzie księżyc. Nigdy mi się nie nuży zgadywanie, jaką tarczę odsłoni nad tymi skałami, wodą i portem, a on i tak za każdym razem wprawia mnie w zdumienie.

Kiedy księżyc wzszedł, przyjaciele podziwiali jego czarowne oblicze w milczeniu, które niczego nie oczekuje – ani wobec świata, ani wobec bliźnich. Następnie wspięli się po schodkach na wieżę, a kapitan Jim pokazał im aparaturę latarni i wyjaśnił jej mechanizm. W końcu znaleźli się w jadalni, gdzie w otwartym palenisku płonęło wyrzucone przez morze drewno, żarząc się drżącymi, nieuchwytnymi barwami zrodzonymi w głębinach.

– Sam sobie zbudowałem ten kominek – napomknął kapitan Jim. – Rząd nie dba o to, coby zaopatrzyć latarników w takie luksusa. Patrzcie państwo tylko, jakie te płomienie kolorowe. Gdyby życzyła sobie pani do kominka trochę drewna wyrzuconego na brzeg, któregoś dnia przyniosę pani całe naręcze. Siadajcie państwo, a ja zaparzę herbaty. – Kapitan Jim podsunął Ani krzesło, z którego wcześniej zdjął ogromnego rudego kota i gazetę. – Zmykaj, Majtku, wracaj na sofę. Muszę odłożyć tę gazetę na zaś. Została mi do dokończenia jeszcze jedna opowiastka. *Szalona miłość*. Taki ma tytuł. Nie gustuję w tego typu literaturze, ale czytam to, coby się przekonać, ile ta kobitka jeszcze pociągnie. To już sześćdziesiąty drugi rozdział, a moim zdaniem do ślubu jeszcze tak samo daleko jak

[15] Księga Izajasza 55:1.

w pierwszym. Kiedy zagląda tu do mnie mały Joe, czytam mu historie o piratach. Czy to nie dziwne, że małe bąki życzą sobie słuchać samych krwawych opowieści?

– Zupełnie jak mój Davy – powiedziała Ania. – Uwielbia książki, w których krew się leje strumieniami.

Herbata zaparzona przez kapitana Jima okazała się istnym nektarem. I choć kiedy Ania pochwaliła napar, w głębi duszy gospodarz ucieszył się jak dziecko, przywołał na twarz wyraz udawanej obojętności.

– Rzecz w tym, coby nie skąpić śmietanki – odparł nonszalancko.

Kapitan Jim nigdy nie słyszał o Oliverze Wendellu Holmesie[16], ale najwyraźniej zgadzał się z opinią pisarza, że „Wielkie serca nie gustują w małych dzbanuszkach śmietanki".

– Na ścieżce do latarni spotkaliśmy przedziwnego jegomościa – powiedział Gilbert, upijając łyk herbaty. – Któż to taki?

Kapitan Jim uśmiechnął się szeroko.

– Marshall Elliott... Wspaniały człek, choć pod pewnym względem nieuleczalnie głupi. Pewno się państwo zastanawiacie, co też mu strzeliło do głowy, coby zamienić się w dziwadło z gabinetu osobliwości?

– Może to jakiś nazarejczyk albo hebrajski prorok, który dożył czasów nowożytnych? – wyraziła żartobliwe przypuszczenie Ania.

---

[16] Oliver Wendell Holmes – amerykański pisarz i lekarz (1809–1894).

Lucy Maud Montgomery, Wymarzony dom Ani,
tłum. Maria Borzobohata-Sawicka, Wilga 2022, str. 89-91